



STER

ILUSTROWANE CZASOPISMO DLA MŁODZIEŻY
KRAKÓW * ROK SZKOLNY 1943/44 * NR. 2

JESIEŃ

— Chcesz złota i purpury? — zapytało
Lato i wyciągnęło ramię ku polom i lasom.
A teje chwili bogactwo barw nowych okryło
wszystkie drzewa: krzaki róż zajaśniały gło-
giem purpurowym, winnice okryły się złotem
i szkarłatem, z drzew kasztanowych spadł
deszcz ciemnych owoców, w lasach powtór-
twórnice zakwitły fiołki.

Ale Królowa Roku była blada i milcząca.

— Zimno! — szepnęła. — Wiatr chłodny.
Nocami pada mgła wilgotna! Zimno mi,
tęskno... do naszej ojczyzny!...

I smutnymi oczyma żegnała bociany, le-
cące na południe, żegnała każdego i wyciągała
ku nim ręce...

Odleciały. Na drzewach, dachach domów
gniazda puste; w jednym wyrasta wysoki
kłos żyta. Wróble krążą ponad nimi.

— Pi, pi! A gdzież to państwo gospodarze?
Niewygodnie im tutaj? Wiatr za chłodny?
Więc kraj ten opuścili?... Szczęśliwej po-
droży!

Las zmienia barwy: żółknie i ciemnieje,
liść spada suchym deszczem, wiatr jesienny
świszcze, porywa resztę.

Późna jesień. Królowa Roku spoczywa
znużona na pościeli z mchu i siana, smutnie
patrzy w gwiazdy. Mąż stoi przy niej. Wiatr
ostrzy przemknął między drzewami i zabrał
chmurę liści; na gałęzce obnażonej usiadł
motyl, może ostatni motyl tego roku.

H. Andersen

LISTOPAD

Opada jesień liśćmi na ziemię,
zima, zima już blisko!

Przed mrozem mrówek przezorne plemię
umacnia swe mrowisko.

Ruda wiewiórka szyszki, orzechy
zanosi do spiżarni.

Ćwierkliwych wróble pod ludzkie strzechy
szara się rzesza garnie.

Na polach ciągną się mgły perlowe,
na pustych, szarych polach;
krzew pajęczyną spowija głowę
i cicha leży rola.

Dziewczyna pędzi gęsi i śpiewa
tęskliwie i żałośnie...

I pola tęsknią i tęsknią drzewa
i ziemia śni o wiosnie.

A wierzby stoją nago i smutnie,
strażniczki ciszy świata;
wiatr ich gałęzie targa okrutnie
i jesień z nich wymiata.

Jadwiga Morska

IDZIEŃ ZADUSZNY

Po południu, na nieszpory, jakie się od-
prawiały raz w rok w cmentarnej kaplicy,
pociągnęli wszyscy.

Dzień już przywierał szare, zmęczone po-
wieki, gasnął i zapadał zwolna w przerażające,
smutne topiele zmroków; wiatr się poruszył
i przeciągał po polach z jękiem, tłukł się po-
między drzewami, a wionął surowym, prze-
gnitym tchem jesieni.

Cicho było, tą dziwnie posępną cichością
zaduszek; tłumy szły drogą w surowym
milczeniu, ino tupot nóg się rozlegał głucho,
ino te drzewa przydrożne chwiały się niespo-
kojnie i cichy a bolesny szum gałęzi drżał nad
głowami, ino te grania i śpiewy prośzalne
dziadów lkały w powietrzu i opadały bez
echa...

Przed wrótniami, a nawet i wśród mogił
pod murem, stały rzędy beczek-solówek,
a obok nich rozkładały się gromady dziadów.

A naród płynął całą drogą pod topolami
ku cmentarzowi: w mroku, co był już przy-
trząś świat jakby popiołem szarym, błyskały
światła świeczek, jakie mieli niektórzy i chwiały
się żółte płomyki lampek maślanych, a każdy,
nim wszedł na cmentarz, wyciągał z tobołka
chleb, to ser, to ździebko słoniny albo
kiełbasy, to motek przędzy lub tę przygarść
lnu wyczesanego, to grzybów wianek i skła-
dali to wszystko pobożnie w beczki — a były
one księdza, były organistowe i Jambrożego,
a reszta dziadowskie, a kłóren w nie nie
kładał, to grosz jaki wciskał w wyciągnięte
ręce dziadowskie... i szeptał imiona zmarłych,
za które prosił o pacierz.

Chór modłów, śpiewów, imion wypomi-
nianych jęklwym rytmem wznosił się wciąż
nad wrótniami, a ludzie przechodzili —
szli dalej, rozpraszali się wśród mogił, że
wnet, niby robaczki świętojańskie, jęły jaśnieć

i migotać światełka wskroś mroków i gąszczów drzew i traw zeschniętych.

Głuchy, przyciszony trwoźnie szept pacierzy drgał w przyziemnej ciszy; czasem szloch bolesny zerwał się z mogił; czasem lament żałosny wiał się w rozdzierających skrętach wśród krzyżów; to jakiś nagły, krótki, nabrzmiaty rozpaczą krzyk jak piorun rozdzierał powietrze, albo ciche płacze dziecięce — sieroce płacze kwiliły w omroczonych gąszczach niby pisklęta...

A chwilami opadało na cmentarz głuche i ciężkie milczenie, że ino drzewa szumiały posepnie, a echa płakań ludzkich, skarg, krzyków bolesnych, żalości, biły ku niebu, w świat cały szły...

Ludzie snuli się wśród mogił cicho, szeptali lękliwie i trwoźnie poglądali w dal omroczoną, niezgłębioną...

— Każdy umierał — wzdychali ciężko z kamienną rezygnacją, i wlekli się dalej, przysiadali przy grobach ojców, mówili pacierze, to siedzieli cisi, zadumani, głusi na życie, głusi na śmierć, głusi na ból — jak te drzewa, i kaj te drzewa kolebały im się dusze w sennym poczuciu trwogi...

— Jezus mój! Panie miłosierny, Mario! — rwało się im z dusz umęczonych zamętem i podnosili twarze zakrzepłe i wyczerpane jak ta ziemia święta, a oczy szare niby te kałuże, co się jeszcze siwiły w mrokach, wieszali u krzyżów i ruchami tych drzew, rozchwianych sennie, osuwali się na kolana; do stóp Chrystusa rzucali serca strwożone i wybuchiły świętym płaczem oddania się i rezygnacji.

A tam na zapadniętych grobach cicho było, pusto i mroczno — tam leżeli zapomniani, o których i pamięć umarła dawno — jako i te dnie ich i chaty, i wszystko; tam jeno ptaki jakieś krzyczały złowrogo i smutnie szeleściła gęstwa, a gdzie niegdzie sterczał krzyż spróchniały — tam leżały pokotem rody całe, wsie całe, pokolenia całe — tam się już nikt nie modlił, nie płakał, lampek nie palił... wiatr jeno huczał w gałęziach, a rwał liście ostatnie i rzucał je w noc na zatracenie ostatnie... tam jeno głosy jakieś, co nie były głosami, cienie, co nie były cieniami, tłukły się o nagie drzewa kiej te ptaki oślepie, i jakby skamlały o zmiłowanie...

Wl. St. Reymont

STASIA POMAGA

Czy znasz ten duży, szary, smutny dom na rogu ulicy? Znasz go na pewno! Chyba że nie byłeś nigdy w większym mieście. Jeżeli jednak mieszkasz w mieście, albo choć byłeś w nim kiedyś, widziałeś pewnie taki dom nieraz i przy niejednej ulicy. Wiesz



W. Wodzisławski

Szlifierz

dobrze, jak brzydko i ponuro wygląda z ciemnymi szeregami okien i małymi klatczkami balkonów. Dachy nie widać w ogóle — jest zbyt wysoko; tylko rynny biegają wzdłuż po murze, aż do samego chodnika. Tuż nad chodnikiem są małe, prostokątne okienka. W tych okienkach wiszą zwykle białe firaneczki i stoją kwiaty w doniczkach. Widziałeś je, prawda?

Widziałeś też może blade dzieci w oknie suteryny, dziewczynki z jasnymi warkoczami i niebieskookich chłopczyków? A może i ty mieszkasz w suterynie? Wiesz w takim razie, jak ciemno i smutno jest zwykle w podziemnym mieszkaniu. I z pewnością tak samo chętnie wybiegasz na podwórze, jak mała Stasia z narożnego domu.

Ojciec Stasi jest szlifierzem. Cały ranek jeździ ze swym kamiennym kołem po podwórzach, nawołując:

— Ostrzyć, oostrzyć noże, nożyczki! Noooże, noożyczki...

Po południu przynoszą mu do domu z sąsiedniego sklepu noże oddane do ostrzenia. Przez całe popołudnie niezmiernie stuka drewniany pedał, warczy koło rozpędowe, grzyta stal o kamień.

Wieczorem ojciec siada ciężko pod piecem, i mówi:

— Ano, zmachałem się.

Stasia słucha słów ojca i nisko opuszcza głowę. Chciałaby mu pomóc, tak serdecznie współczuje jego zmęczeniu, ale co zrobić? Nie może przecież ostrzyć za niego noży. Stara się jak najlepiej wypełniać swe obowiązki, uczy się dobrze, pomaga w domu, ale to wszystko w niczym przecież nie ulży tatusiowi.

Wreszcie zwierzyła się swej przyjaciółce, Frani, która mieszka w tym samym domu na trzecim piętrze.

— A może byś jednak pomogła tatusiowi ostrzyć? — zaproponowała Franja. — Mogłabyś naostrzyć kilka z tych noży, które wam przynoszą do domu. Widziałam przecież kiedyś, jak ostrzyłaś kozik.

— O, tak! — odparła bez zapału Stasia. — Ale ja umiem ostrzyć tylko oselkę. Na kamieniu to bardzo ciężko...

— Więc albo chcesz pomagać ojcu, albo nie — oburzyła się Franja — przecież on się też męczy przy swojej robocie.

— Naturalnie, że chcę mu pomóc — odrzekła zgnębiona Stasia. — Ale nie wiem, czy to coś pomoże. Tatusz ostrzy te noże najwyżej parę godzin, a ja nad jednym stracę pół dnia.

— To tylko początkowo — pocieszyła ją Franja. — Potem dojdiesz do wprawy i będziesz go ostrzyć najwyżej godzinę.

Stasia ożywiła się.

— Masz rację! Zaraz dzisiaj zabiorę się do roboty. Żeby tylko tatusz nie zobaczył moich początków...

— Najlepiej wyjdź z robotą na podwórze — poradziła Franja. — Możesz sobie usiąść w tym kąciku, za rogiem oficyny. Tu nikt nigdy nie zagląda.

Po obiedzie Stasia prędko napisała zadania. Zabrała kilka zwyczajnych noży, oselkę i wodę w garnuszku. Poszła na podwórze. Był piękny, ciepły dzień jesienny. Stasia przycupnęła w kąciku za rogiem i zabrała się do roboty. Ale nie szło jej jakoś. Noże były bardzo stare, tępe i wyszczerbione. Poszukała sobie

na podwórku kamienia, ale nie pomogło, ani to, ani zwilżanie wodą. Dziewczynka była bliska płaczu. Zagryzła wargi, zmarszczyła brwi i tak się zagłębiła w ostrzeniu, że nie dosłyszała nawet ciężkich kroków za sobą.

— Stasiu! A cóż to nowego? — zabrzmiał nagle, tuż nad nią, głos ojca. — Zabrałaś się do ostrzenia? Po co?

Stasia zaczerwieniła się i schowała za siebie oselkę.

— Ja nic... Ja nic, ja tak sobie — wyjąkała.

— Doprawdy? Pokaż, co tam masz. Ależ to te noże, które przynieśli dziś rano z pierwszego piętra! Nie, dziewczynko, to za ciężka praca dla ciebie. Idź lepiej pomóc mamusi w gospodarstwie.

Dwie duże łzy zabłyśły w oczach Stasi.

— Ale, tatusiu... ja chciałam tobie, właśnie tobie troszeczkę pomóc!

Ojciec uśmiechnął się.

— Nie pomożesz mi znowu tak wiele, a sama stracisz niepotrzebnie dużo czasu. Ale wiesz, Stasiu, pomogłaś mi już dużo. Znalazłaś świetne miejsce do pracy na pogodne dni. Muszę się tu zaraz przenieść!

Po chwili stała już na rogu szlifierka. Ojciec zabrał się z uśmiechem do roboty.

— Czemuś taka smutna, córeczko?

Stasia odwróciła się od tatusia i zaczęła bawić się kamieniem.

— Ja, ja... tatusiu... bo ja tatusiu...

— Wiem, dziecko. Czy chciałabyś mi pomóc?

Stasia zerwała się.

— Jak, tatusiu?

— Wiesz, czym mi najlepiej pomożesz? Bądź zawsze wesoła i szczęśliwa. Nie martw się. Każde twoje zmartwienie jest i dla mnie zmartwieniem.

— O, tatusiu, nigdy nie będę się martwić! Ale... czy nie mogę ci pomóc w ostrzeniu.

— Dziecko, przecież i ty masz swoją robotę. Niech każdy robi swoje, pomożemy sobie piosenką i uśmiechem, dobrze?

O. W.



MŁOCKA

Pierwsza ta młocka Stachowa była jak gdyby pasowaniem chłopca na parobka.

Cała kupka dzieci i wyrostków zbiegła się na to widowisko; małe stanęły u wrót poważnie, zadziwione, onieśmiałe nową rolą niedawnego towarzysza zabaw; starsi, rówieśnicy Stacha, wpadli do stodoły, napelniając ją gwarem i śmiechem.

Za dziećmi zaczęły hałasować zimujące pod strzechą wróble; a że słońce jasno we wrota świeciło, cały ten obrazek zdawał się owiany weselem i jasną pogodą.

Za dziećmi przystawały dziewczęta i baby, dziewczęta śmiały się w kułak, baby kiwały głowami:

— Przypatrzcie się, moi ludzie, jaki się to pachel¹ do młocki dał.

— Oj, gęsi tobie pasać, choćby z rok jeszcze, ale nie młócić...

— A i najesz ty się chleba z tego żyta?

— A to co drag do cepów ma, jak koza do tańcowania!

— Oprócz żartów, tego młócić!

— Chłopak, bój się Bogal a toć stodołę rozwalisz, jak tak będziesz machał...

— Mój Boże, na co to chudziaczkowi przyszedł jak się to marnuje w takiej pracy...

Chłopak nie odzywał się ani tak, ani tak, tylko raz koło razu cepem walił, bo już się na tej robocie lepiej rozumieć zaczynał.

Dopiero kiedy Domin stary u wrót przystanął, tabaki zażył i, pokręciwszy głowę, powiedział mu: — Szczęść Boże! — chłopaka cości tkło, cep u słupa wsparł, pot z twarzy rękawem otarł, starego pod kolana chwycił i, odrzekłszy: — Daj, Panie Boże — w rękę go pocałował.

— I cóż ty, chłopak? Uradzisz ty cepem? — przemówił stary.

— Ciężko, ale uradzę! — odrzekł Stach i podniósł na starego śmiało siwe oczy.

Domin znów tabaki zażył.

— Hm! Nie patrzysz ty mi jakoś na mocnego.

— E... — roześmiał się chłopak — to tylko tak po wierzchu.

— A daru Bożego nie marnuj! Ziarna w słomie nie odstawaj. Choć trzy, choć cztery razy posad² strzáchaj, a nie ostawiaj.

Chłopak słuchał z iskrzącym wzrokiem. Stary gadał do niego, jak do słusznego parobka; to mu dodawało otuchy i napelniało poczuciem własnej siły...

Stary nie odchodził jeszcze...

— A wiesz ty, chłopak — że ja w twoich latach żrebaki ledwom pasał? Na pięci morgach sam robić chcesz?... Phii... To duże rzeczy są! Ta święta ziemia dużej pracy chce, dużego potu. Tam nie śmieszki, nie za gęsiami hukanie, nie schówki, nie dudki, nie baraszki, tam mocnej ręki potrzeba i mocnego rozumu. Sam... Hm! Łacno powiedzieć, ino, że nie łacno zrobić. A to się i chłop zegnje, zaś nie dopiero taki ta, jak ty. To są duże, duże rzeczy!...

Kręcił głowę i tabakę brał; Stacho stał przed nim, jak na rozżarzonych węglach.

— A no, próbuj — rzekł wreszcie stary. — Roboty teraz jakby i nie było: na parobka czas, choćby i do Wielkiej Nocy jeszcze.

Odetchnął Stach lżej i do kolan staremu powtórnie się schylił. Było coś głęboko wzruszającego w tej pokorze chłopca, który zdawał się dziękować za to, że mu wolno ciężar nad siły dźwigać i próbować, czy się pod nim nie załamie.

Musiło coś i starego tknąć w serce, bo zamiast po tabakę sięgnąć rękoma głowę chłopaka ścisnął i z cicha zaszeptał.

— Dajże, Panie Boże, jak najlepiej sierociel!

M. Konopnicka

¹ Pachel — dzieciak, smarkacz.

² Posad — warstwa zboża na klepisku.

DOBRE RĄDY

Wstawaj rano, sypiaj twardo,
Hartuj duszę, jadaj miernie.
Z bólem łam się z młodu hardo,
A dochowaj słowa wiernie!
Ucz się słuchać, abyś umiał
Rozkazywać, gdy tak padnie;
Ucz się pracy, byś zrozumiał,
Co tam leży w życiu na dnie;
Ucz się milczeć, byś treściwie
Umiał podnieść w niebo głosy.
Ucz się modlić, byś cierpliwie
Umiał wytrwać na złe losy.

Rano rozważ, co masz czynić,
Nim postawisz krok na progu,
A wieczoru licz się Bogul
I już lepiej jest obwinić
W sercu siebie, niżli bliźnie,
Kiedy noga się pośliznie.
Nic nie pocznij bez rozwagi,
Boga wzywaj do pomocy,
To nie braknie ci odwagi,
Ani we dnie, ani w nocy!

Wincenty Pol

Jak gazda spod Giewontu w karczmie popijał i co z tego wynikło?

Nie tylko u narodów starożytnych utrzymywała się wiara, że dusza po śmierci przechodzi różne stopnie pokuty tu na ziemi zanim osiągnie raju, ale i dziś jeszcze w różnych zapadłych zakątkach cywilizowanych krajów wiara ta się utrzymuje. Pokutująca duszyczka musi przeistoczyć się na przykład w konia, osła, w jakiegoś ptaka, gada, a nawet wejść czasem w jakąś rzecz martwą lub siedzieć w miejscu bardzo niewygodnym i upokarzającym aż do wyznaczonego jej czasu.

Na naszym Podolu nasłuchałem się wiele opowiadań o pokutujących na ziemi duszyczkach. Niektóre były tak straszne, że włosy dęba stawały, inne wesołe. Gadkę, którą opowiem słyszałem także w Tatrach.

Przez pewne miasteczko szło w kierunku klasztoru dwóch księży zakonników. Droga wiodła koło karczmy, do której wstępowali gromadnie wracający z targu wieśniacy i popijali sobie jedni, by na wesoło zakończyć udany targ, inni, by przepić, co jeszcze mieli, ku większemu pomnożeniu swej biedy w chałupie.

Zakonnicy, zbliżający się do karczmy, zauważyli pod ścianą zaprzęzonego do wozu siwego konika, stojącego niespokojnie. Z karczmy dochodził gwar wielu głosów, dźwięk harmonijki i wrzaskliwa śpiewka:

Cyś ty chłopie osalot,
Cy ty nimos rozumu,
Karcma stoi przy dródze,
A ty idzies dó domu.

Piskliwy głos baby przyspiewywał:

Ja ci powiodała,
Nie pij okowitu,
Bo ci nóżki pódnom
Tu i tu, tu i tu...

Zakonnicy przystanęli. Popatrzyli na siebie, popatrzyli na głodnego konika, wreszcie młodszy zakonnik rzekł:

— No, tego już za wiele. Wieczór się zbliża, siwek stoi głodny, a ten tam robi zgorzzenie i przepija to, co utargował. Musimy go ukarać.

— Dobrze, bracie — rzekł starszy zakonnik. — Ja zabiorę konia do klasztoru, a ty stań przy dyszlu i udawaj konia.

Tak też zrobili.

Zadowolony siwek rżąc poszedł za zakonnikiem, a młodszy ksiądz narzucił na siebie uprząż, stanął przy dyszlu i czeka cierpliwie.

Po pewnym czasie wychodzi z karczmy gospodarz i chwiejnym krokiem zdąża ku swej furce. Nagle przystanął, drgnął, bo zamiast konia ujrzał przy dyszlu księdza.

Przetarł oczy raz i patrzy — ksiądz. Przetarł drugi raz — ksiądz. Podrapał się po głowie i krzyknął:

— Jegomościu, a co wy tu robicie? Ka mój koń?

— Nie krzyczcie, gazdo — rzecze pokornie zakonnik. — To ja byłem w waszego siwka przemieniony, ale oto skończyła się moja pokuta. Czekam na was, byście mnie puścili, bo samemu odejść mi nie wolno.

Gazda strapiony utratą swego ulubionego siwka spojrział ze łzami na zakonnika i westchnął ciężko:

— No, to idźcie z Pane Boge i byboccie¹, zek wos case bicepske przejechoł, bo jek przecie nie wiedził, żeście to wy.

Zakonnik pobłogosławił gazdę i oddalił się w stronę klasztoru. Na zakręcie obejrzał się raz jeszcze na patrzącego za nim gazdę, przeżegnał go ręką i zniknął.

Pożyczonym koniem dojechał chłop do domu. Strapiony siadł na ławie przy stole i zamyślony, milczący nie zwracał uwagi na kazanie, jakie mu żona prawiała. Pograżył się w swych myślach, uśmiechając się od czasu do czasu do siebie.

— Cóż ty, bestyjo, nic nie godos — wrzaśnie nagle baba. — Niceś nie przywiózł, nic nie kupił, jeno wódką cuchnies i jesse się śmiejes, moze to do aniołków? Pockoj, dom ci wody na wiecerzę, to ci się w głowie ozjaśni.

Gazda wstał, podszedł do żony i mówi czule:

— Nie holof²) Kaśka, nie holof. Jo cię tyz chočky widziotł przy winku, a nie darlek się na cię, ba, jessek się z tobą ozenił, a jak bees na mnie zła, to ci tak powiem — i zaśpiewał:

Piłaś se winecko,
Moja kohanecko,
Przepiłaś urodę,
Pijże teraz wodę.

— Beemy oba jeść wodę na wiecerzę i bee fajnie, a jutro pojadem w las, zarobiem i zaś biedę wygnamy z fałupy³).

Tu przypomniał sobie, że konika przecież stracił, więc rozżalony zaśpiewał:

Nimom nic, nimom nic
I o nic nie stoję,
Ej, jeno to co koham,
Co by było moje.

Żona spojrziała na męża już łagodniej i rzecze:

— Wojtuś, powiedz przecie, kaś był do

¹ przebaczenie; ² nie wrzeszcz; ³ z domu.

tela i fto⁴⁾ cię do wódki nakłonił, przecie ty nierod pijes? Mos tu grule⁵⁾ z mleke i jedz, a nie rób więcej utrapienio, bo wies ze dutków⁶⁾ trza.

Tu spojrzła przez okno na konia nie odprzęgniętego jeszcze od wozu i jak nie zacznie krzyczeć:

— Ej, rety na świecie! Dyj to nie nas kónł! Co się przecie stało, gadoj.

— Dyc słuchaj Kaśka, a nie holof tak doremnie, to ci pomalućku syćko powiem. Kónia pozycyl mi somsiad na kwile, a mysmy kónia prawdziwego nie mieli, bo to był ksiądz!

— Jaki ksiądz! Co ci chybio⁷⁾ Wojtuś, cyś nie chory?

Przyłożyła rękę do głowy chłopca, czy nie ma gorączki, ale chłop rękę odepchnął i wrzasnął:

— Nie rób ze mnie ani chorego, ani waryjaka. Chodzis do kościoła na kazanio więcel jak ja, a nie wierzys tak jako trza, ba, jakosi inacej. Wolo Boska i nie ma gadania! Siądz i słuchaj, co się stało. A, jesce ci przódy powiem, co byś mi nigdy żadnego zwierzęcia nie biła, bo nie wies, co w nim siedzi i nicego mi nie zarzynoj, bõ jo od dzisko⁸⁾ miesa jod nie bedem.

— Ba, co bees jod, kiej mleka braknie?

— Bedem jod grule na odmiane.

— Na jakom odmiane?

— Po grulak rzepę, to zaś ziemniaki, pote kartofle, a zaś pote pyrki⁹⁾ i jesce te bulwy¹⁰⁾ z nad morza, albo i barabole¹¹⁾ od Tarnopola. To juz bee dość.

— Ej, Wojtuś plecies! Dyć to pono cyćko jedno i to samo, jeno nazwa inno.

⁴⁾ kto; ⁵⁾ ziemniaki; ⁶⁾ pieniędzy; ⁷⁾ się wydaje, się marzy; ⁸⁾ od dzisiaj.

— Niek to bee i to samo, ale pokutników jod nie bedem i basta! A jak se zbocem¹²⁾ jako mój ksiądz ciężko woził drzewo z lasu i jako pokornie w polu orał, a ja go jesce bate przejechał, to mi się serce kraje. Siedz, Kaśka, cicho i słuhaj.

Gdy tak z powagą opowiada Wojciech swej Kaśce o całym zajściu przed karczmą, tymczasem w klasztorze księza zakonnicy obmyślają, w jaki sposób oddać konia z powrotem.

— Posądzą nas o kradzież — mówi zakłopotany starszy zakonnik.

— Mam wyjście — rzecze drugi — za trzy dni jarmark. Zaprowadzimy konia na jarmark, przywiążemy na placu u bariery, tam gdzie zwykłe konie stoją na sprzedaż, a sami stanjemy w pewnej odległości. Gazda niewątpliwie na jarmark przyjdzie i swego siwka pozna.

Jak obmyślili, tak zrobili.

Zanim ludzie z towarami zeszli się na targ, siwek stał już, pogryzając sianko, jakie mu zakonnicy podali.

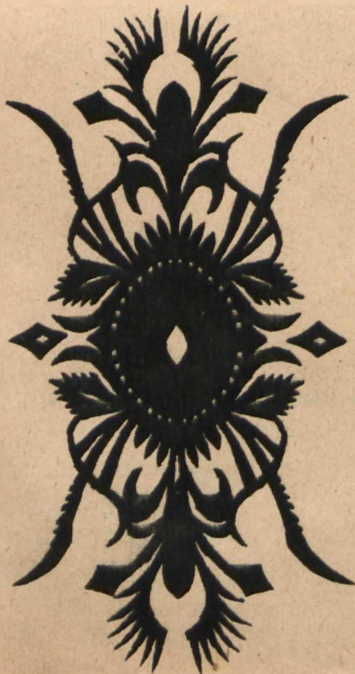
Niebawem zjawił się prawy właściciel siwka, Wojciech, po kupno nowego konia. Ogląda uważnie inne konie, ale od siwka jakoś stroni. Obchodzi go zdaleka i z zdziwieniem kręci głową. Siwek tymczasem poznał swego pana i zarżał z radości, jakby chciał powiedzieć: tu jestem.

Wojciech rozczulony rzeniem swego siwka zbliżył się doń, pogłaskał go po łbie i szepnął mu do ucha:

— E, jegomościu, ja nie wiedziałek, żeście wy ksiądz. Ale teraz to jo was już nie kupiem.

K. Kłosowski — Zakopane

¹²⁾ przypomnę.



CHMURY

Każda chmura inna: na przykład jesienna
Pełnie, jak żółw, leniwa, ulewą brzemienna,
I z nieba aż do ziemi spuszcza długie smugi,
Jak rozwite warkocze — to są deszczu strugi.
Chmura z gradem, jak balon, szybko z wiatrem leci,
Kragła, ciemno-błękitna; w środku żółto świeci.
Szum wielki słycać wkoło. Nawet te codzienne,
Patrzenie, państwo, te białe chmurki, jak odmienne!
Zrazu jak stada dzikich gęsi lub łabędzi,
A z tyłu wiatr, jak sokół, do kupy je pędzi:
Ściskają się, grubieją, rosną — nowe dziwy!
Dostają krzywych karków, rozpuszczają grzywy,
Wysuwają nóg rzędy i po niebios sklepie
Przelatują, jak tabun rumaków po stepie;
Wszystkie białe, jak srebro; zmieszają się... nagle
Z ich karków rosna maszty, z grzyw szerokie żagle,
Tabun zmienia się w okręt i wspaniale płynie
Cicho, zwolna, po niebios błękitnej równinie!

A. Mickiewicz

NA ODLOCIE

Jest na północy kraina ogromnie dzika, bogata jeno w torfowiska, bagna, ostrowy¹ i kępy, przesiąknięte wodą. Świat to zimny, strasznie posępny, ojczyzna ślimaków wodnych, ryb, szczeżuj, pijawek, płoszczyk, nartników² i innych dzikich dziwolągów. Trawy szorstkie, brudno zielone tną tu za dotknięciem i rzeżą, jak noże. Rzęsa, czerwień, błotnica³, sity, trzciny, tataraki bujne rosną na tej glebie. No, i gdzieś tam rokocina albo krzak olszyny.

Tutaj w jesieni zebrały się w jedno stado rodziny liczne żurawi. Stawili się starcy leciwi, choć jeszcze dostatecznie lotni. Przybyli wodzirejowie drużyn, jarzy, zamasyści, w sile wieku. Matki troskliwie przyśpiały⁴ z młodzieżą, latoś wylęglą w gniazdach i rokującą nadzieje świetne. Właśnie wiec pełen wagi nadzwyczajnej miał stanowić o losach rzeczpospolitej.

Bo oto ziemia, ojczyzna luba gniazd żurawich, poczęła stygnąć, obumierać i zapowiadać niedostatek środków do życia. Trza iść w świat, szukać kawałka chleba! Ej, co tam! Zgromadzenie żurawi ma mędrców radzieckich, zdolnych rozstrzygnąć którądy, dokąd należy podążać, jacy wodzowie poprowadzą hufy pątnicze.

Czas schodzi, i coraz nowe drużyny swojaków — każda z wodzem na czele przylatywały od wschodu, od północy dalekiej. O, wiele, wiele jest żurawi rozrzuconych w świecie szerokim! Ale jeden obyczaj, jedna myśl ożywia wszystkich rozpierzchłych i jednocy. Teraz w jesieni, wszyscy bez wyjątku — ktokolwiek przebywa w tych krajach — stają do narady wspólnej.

Gwarno było dokoła zastępów sejmujących. Opoдал stado gęsi, zgromadzonych także celem odlotu, wiewowało wśród szumu, plusku i okrzyków gęgliwych, towarzyszących każdej uchwale. Czajki, jako ptaki niesamodzielne, poderdując i chichocząc, oczekiwały, co też postanowią bądź żurawie, bądź gęsi. Poco układać plany podróży odległych, skoro

można za ogonami innych polecieć choćby na kraj świata?...

Kaczki dzikie z właściwą im obojętnością na wszystko, co nie jest żerem gorliwie przetrząsały wody i zarośla. Niektóre z nich, już nasycone wybuchały krzykiem namiętym.

— Tak, tak, tak...

Kurki zielononogie wyprawiły się wieczorami po dwie, po trzy na piechotę w podróż zagranicę. Ciekawy sposób pielgrzymki: chyłkiem od rowu do rowu...

Bekasy długodziobe w różnych porach dnia po krótkiej naradzie odlatywały rodzinami, skrzeczając marudnie:

— Chcę jeść!

Tłustsze zostawały w nadziei, że poszcząc stracą sadło i wtedy dopiero odlecą. Nury srebrzyste pływały w milczeniu po wodach większych, chępiąc się ze swych czubów, trzepocąc skrzydłami małymi.

— My tam nie zamierzamy szukać wiatru po świecie.

Czasem orzeł przeleciał nad okolicą i napędził wszystkim strachu, innym razem lis, mimo strażę czujne, zapolował z powodzeniem na gaskę, pograżoną w marzeniach sennych. Jakież to wstyd dla gęsiorów!...

Nareszcie drużyny żurawie przestały nadciągać. Zebranie było pełne, mogło więc wydawać uchwały obowiązujące. Przeplatano więc sobie mozolne zajęcia życia obywatelskiego igrzyskami publicznymi: były to popisy zręczności i siły cielesnej, wyprawiane w powietrzu lub na ziemi. Występował na przykład wesołek jaki obrotny, wyginał szyję nadobnie i w podskoku różnym dosięgał głową ogona. Niebawem zjawiali się inni, otaczali go kołem, podskakiwali, kręcili się na jednej nodze, machając skrzydłami. A nie, to najsprawniejsi wylatywali w podniebie tak wysoko, że tylko oko żurawia mogło ich dojrzeć i tam naśladowali gonitwę orłów.

Swoboda ruchów, siła i gibkość ciała budziły podziw w gromadzie. Rozrywka kzepiła umysły ptaków radnych, a przeto ważne uchwały wiecowe żwawo posuwały się do kresu. Przedmiotem sporów najgorętszych była droga, którą zamierzano przebyć. Wszy-

¹ wyspy; ² płoszczyce, nartniki — owady wodne;

³ rzeza, czerwień, błotnica — rośliny wodne; ⁴ przybyły spieszenie.

stkie bowiem drogi prowadzą „na wyraj”⁶, ale jedna jest najkrótsza. Tacy starsi, doświadczeni, wielce przezorni doradzali podróż bezpieczniejszą — o ile można ponad łądem stałym, w razie potrzeby ma się zawsze pewny punkt oparcia pod stopami. Młodzi, junacy, zuchwalcy, zapaleńcy przekładali podróż ponadmorską, pełną trudów i — na wypadek burzy — ogromnie niebezpieczną. Z pierwszymi połączyli się ptacy lękliwego serca i młodzież, która uległa namowom matek, dbających o los potomstwa. Każdy, kto czuł w sobie odwagę i pochop ku doświadczeniu przygód nadzwyczajnych, stawał po stronie przeciwnej. Słowem, cała tężyzna żurawia znalazła się pod sztandarem z hasłem „morze”. Starcy drwili z nich, mianując ich kaczkami.

I oto wielka drużyna żurawi rozpada się na drużyny pomniejsze, które — każda pod swoim wodzem — obradowały już oddzielnie. Jednomyślni co do celu głównego, różnili się tylko co do środków.

Miano już wyruszyć i każdy przygotował skrzydła, gotowe do odlotu na znak dany przez wodza. Wtem od stepu, spoza bagien zabrzmiał jakiś chrapliwy głos żurawi. Cała gromada zwróciła oczy w tę stronę.

⁶ Ciepłe kraje, do których ptactwo odlatuje na zimą.

— Widocznie spóźnił się na wiec jeden z panów braci!

Niedługo czekano na osobliwego przybysza. Ptak na wpół biegnąc, na wpół lecąc, z wrzaskiem żalonym, tęskliwym przebierał się do swoich przez bagna. Stał między nimi i wszyscy starsi wiekiem zaraz go poznali, jeno nieskorzy coś do powitania, zdawali się wzrokiem zdziwionym wyrażać myśl taką:

— Jakże zmieniony, niepodobny do siebie!

Był to starzec zgrzybiały, niegdyś powszechnie znany z dzielności junak nad junaki, hetman mnogich wypraw zamorskich, strażnik pieczołowity i rajca mądry gromady żurawiej, pradziad pokoleń licznych. Stał przed zgromadzeniem i głosem drżącym, ochryplym, w którym się odbijała boleść i rozpacz, powitał zgromadzenie. Miał jedno oko wybite, drugie bez blasku, jakby mgłą białą powleczone. Brakło mu górnej połowy dzioba, a skrzydła wystrzępione i opuszczone, prawie się wlokły po ziemi. Nogi z pazurami do cna startymi, gięły się niedołącznie pod ciężarem ciała. Widmo straszliwe z tamtego świata, a nie żuraw, dzielny wódz rzeszy.

Słońce i gwiazdy oznajmiły mu, że o tej porze gromada rodzima wiecjuje w sprawie odlotu. Pędził więc kaleka dniem i nocą, aby się stawić na sejmie, a potem lecieć daleko ze swoimi.



Teraz widział, że uchwały wiecowe już zapadły. Więc zbliżył się do hufca, który właśnie przedsiębrał wyprawę nadmorską, najzuchwalszą. Chciał przez to powiedzieć.

— Bracia, i ja polecę z wami!

Junaki z politowaniem spojrzeli na starca, a wódz ich krewko poskoczył i odpędził wiarusa od gromady.

— My polecimy raczej orłów, a niedołość twoje upośledzi i może opóźnić nasz lot. Nie z nami, starcze, nie z nami!

Nagabywał potem drugą, trzecią, dziesiątą drużynę, każda dawała mu odprawę bardzo surową.

— Przeżyłeś już swoje, sterałeś siły, syt sławy wyczekuj śmierci na barłogu ojczystym. Poco tułać ci się i ginąć kędys za morzami? Zostań tu, głód i zimno przyjdą niebawem, dobiją cię.

Stary załkał. Hasła odlotu padły. Szum skrzydeł, granie cudnej pieśni żurawiej przeszło powietrze. Jakże dobrze jest lecieć i śpiewać w gromadzie! Właśnie na niebo

błękitne bez skazy wychodzi księżyc i pierwsze gwiazdy. Drużyny odlatywały na różne strony, w szeregach długich, stykających się pod kątem ostrym. Żuraw stary został samotny, wyciągnął szyję, rozpostarł skrzydła, wydał okrzyk rozpaczony i biegł nieustannie, spoglądając w górę ku swoim, wrzeszcząc w niebogłoso! Cóż, kiedy biedny nie mógł wznieść się do lotu.

Wypadł na bagniska, pędził przed siebie, aż ugrzązł w błocie i padł na piersi, zranione tęsknicą srogą. Klucze żurawi ukochanych zniknęły mu ze wzroku, ich granie brzmiało jeszcze w uszach.

Bekasy skrzeczały po bagnach, gęsi gęgały wrzaskliwie, kaczory trąbiły glucho, czajki, chichocząc, zrywały się do odlotu. Księżyc oblewał światłem okolicę.

A stary hetman żurawi, ugrzęzły w błocie, wyczekiwał śmierci.

Kłóż tam z mających cele życia, dba o starca będącego na schodzie żywota?

A. Dygasński

ZADUSZKI

Zaledwie od południa schyliło się słońce,
na całym cmentarzu otoku,
jak opadłe wśród krzyżów gwiazdy spadające,
świece zabłyśły wokół.

I bielą się na grobach smutne chryzantemy,
podobne do cichych dusz kwiatów
i szepczą duszom zmarłych: „Wraz z wami pójdziemy
do innych, lepszych światów.”

Na cmentarzu w krąg snują się ludzie w żałobie —
i oni podobni do cieni,
kiedy w cichych łzach smutku klękają przy grobie,
w modlitwie pogrążeni.

I świat cały zatopił się w tak wielkiej ciszy,
że słysząc głos świerszcza z daleka,
a Pan Bóg na stolicy niebieskiej usłyszysz
modlitwę każdego człowieka.

A kiedy już pogasną świece na cmentarzu
i noc się rozpostrze nad światem,
rozpalą aniołowie na nieba ołtarzu
tysiące zadusznych światła.

W. O.

DZIEJE PSZENICY

Urodziłam się w polu. Mężnie przetrwałam zimę pod śniegiem. Zdrętwiała byłam zupełnie — kiedy śnieg pewnego razu stopniał nagle i zamienił się w szafirowe strugi lodowatej wody. Ogarnęło mnie niewypowiedzianie tkliwe ciepło słońca i usłyszałam nad sobą w jasno-niebieskiej topieli pieśń delikatną i skoczną. To była wiosna. To była pieśń skowronka. Nie wiedziałam, że może być na świecie tyle szczęścia. Myślałam, że przeznaczeniem pszenicy jest mężnie trwać pod śniegiem. Tymczasem każdy dzień przynosił nowe upojenia. W uścisku moich korzeni trzymałam grudę czarnej ziemi, która sączyła we mnie tęgą moc i nieomylną mądrość życia. Słońce wołało mnie ku sobie. Rostałam, szumiałam, kłosiłam się, złociałam.

Koniki polne grały mi na swych cytrach piosenkę ladajaką, a cudną.

O koniki my polne, o grajki
lekkomyślne, nieskrzętne
grające całe lato
do tańca zawsze chętne —
O koniki my polne, o grajki
żyjące niebogato.

Ludzie, czy wy możecie zrozumieć, co to jest kolebać się w tym cudnym powietrzu ze szklistym szeptem kłosów w takt cytry koników polnych?

Koniki polne opowiadały mi legendę pszenicy, naszeptaną im chyba przez Boga.

Powiedziały mi sekret przecudny o moim przeznaczeniu. — Rozdwoję się. Jedną swą częścią będę żyć nieśmiertelnie i rozradzać się jako pszenica. Druga część mojej istoty stanie się biała jak śnieg, miękka jak plusz. Ogień mnie pokocha i zrobi mnie złotym kołaczem.

Spożyją mnie ludzie głodni po pracy. Zamienię się w ich krew. Zamienię się w ich siłę, w ich dobroć, w ich wesołość. — Z nimi pójdę do ziemi i wyrosnę błękitnymi irysami na ich grobie.

Omdlewałam z niepokoju, czekając tej wielkiej, dziwnej przyszłości — i wiatr mnie osłabiał kładł kłosem aż do ziemi...

Rostałam na chłopskim zagonie. Pewnego dnia, gdy czułam się już znużoną od dojrzałości, przyszli moi żęncy — ojciec i syn. Syn miał na brązowym czole mętne perły potu, a nad nimi złote włosy, piękniejsze jeszcze niż moja słoma. Pragnęłam być przez niego spożyta. Dałabym mu siłę...

Skosili mnie. To bolało. Ale to nie była śmierć; rodziłam się do nowego życia.

W stodole na belkach i skrzyżowaniach świeciło czerwone, zachodzące słońce. Poczulałam się niezmiernie bliska ludziom. Oto tak samo jak oni pod dachem kładę się na spoczynek.

Wierzeje zawarły się z cichym zgrzytem.

Nie pamiętam jak długo drzemałam sobie w stodole. Czułam tylko, że się na świecie robi coraz zimniej. Przypomniały mi się mrozy i śniegi mojego dzieciństwa.

Nareszcie znów zaskrzypiały wierzeje. Przyszli moi gospodarze.

Niepokoiliłam się. — Idzie nowa odmiana losów — myślałam.

Było mi miło i nieco smutno, gdy ujmowały mnie szorstkie młodzieńcze garście gospodarzowego syna.

Już od dawna moje życie całe skupiało się w ziarnach. Słoma ciężka mi, chciałam się od niej wyzwolić i bałam się tego — bo wyzwolenie się jest zawsze związane z bólem.

Rozpostarto mnie na klepisku. Załomotały cepy. Krótki i ostry ból, gdy odrywa się szypułka ziarna od plewy, przyprowadził mnie niemal o zemdlenie.

Syn gospodarza brał mnie w ręce. Przesypywał mnie z dłoni do dłoni. Zdawało się że mi chce w ten sposób wynagrodzić ból.

Mówił: — śliczna pszeniczka.

A gdy to mówił z ust jego płynął srebrny obłok pary.

— Byłam szczęśliwa.

Maria Dąbrowska



BRACIA

Ścięta przymrozkiem ziemia dudniła dźwięcznie, gdy Stacha biegła przez podwórze ku domowi.

Mroczyło się już.

Pod szczytową ścianą domu młode owocowe drzewka okręcone w słomę, kiwały się na wietrze zaglądając do okien. W mroku wyglądały jak rozprawiająca o czymś gromada wesołych gości odzianych w złociste kożuchy.

Stacha uśmiechnęła się mimowoli: przecież to ona napracowała się dziś rano z Antkiem przy tych kożuchach ze słomy. A Kazimierz patrzył spod oka na tę ich robotę i mruczał:

— Co po takich delikacjach w chłopskiej zagrodzie? Albo to stara grusza, co ją dziadek sadził, nie rodzi jeszcze gruszek, choć sporo gałęzi ma suchych? Ten Antek, odkąd należy do Koła, całą gospodarzę przewróciłby do góry nogami, żeby mógł...

Tak mruczał. Ale na przyszłe lato rad będzie, gdy piękny, dorodny owoc na tych drzewkach zobaczy, oho! Stacha jest tego pewna. I Antek mówił to samo. Ten zawsze postawi na swoim. Choć młodszy, Kazimierza często przekona. A przecież to Kazimierz od śmierci ojca jest całym gospodarzem i opiekunem młodszego rodzeństwa. On się wspólnie z matką o wszystko kłopotuje.

— Dlatego może nieraz taki surowy jest i chmurny — myśli Stacha. — Mało z czego rad bywa. A już wszystkich nowości boi się bardzo. „Jak było za ojca, niech i za nas tak będzie” — powiada na wszystkie projekty Antka. Matka słucha uważnie, co mówi starszy syn i — milczy. Ale gdy Antek zacznie prawić swoje, czego się teraz uczą w szkołach rolniczych, czego się dowiadują od instruktorów, jak to po nowemu trzeba chodzić teraz koło roli, żeby lepiej plonowała, jak hodować inwentarz, aby zwiększyć dochód... jak się łączyć w gromadę, aby się nie dać biedzie i ciemnocie, i takie tam jeszcze inne rzeczy — to matka nie tylko słucha ale i przytakuje, a oczy jej błyszczą wtedy jak u młodej dziewczyny. Bo matka już jest taka, że troski choćby najcięższe, ma sobie za nic, a najmniejszą nadzieją umie się cieszyć i krzepić.

Matka też uczyniła to, że Kazimierz zgodził się wreszcie, aby Antek pojechał do tej swojej wymarzonej szkoły. (Na całe cztery miesiące zbraknie w gospodarstwie dwu silnych rąk).

Zgodził się Kazimierz, ale nie przestawał mruczeć po swojemu: „I po co to? Pana tam z ciebie nie zrobią, to pewne. Ale do

cna przewrócą w tej zapalanej głowie. Od roboty odwykniesz przy książce.

A Antek na to: „Właśnie to mi potem w robocie pomoże, zobaczysz!”

No i jedzie Antek już jutro do tej szkoły. Świtkiem musi wstać, aby zdążyć na pociąg. Do tej kolei dziesięć kilometrów.

— Trzeba dziś dobrą wieczerzę zgotować — postanawia Stacha. — Toć to już pora — i Stacha żywo wbiegła do domu. Wnet w ciemnej kuchni rozpałała pod blachą jasny ogień. Zaświeciła lampę na kominie. Zakrzętała się koło garnczków.

Po niedługiej chwili przyszła i matka ukończony wieczorne obrządki. Od razu wzięła się do składania Antkowej bielizny i tych niewielu podręcznych rzeczy, które chłopiec miał zabrać ze sobą w drogę.

Trzasnęły drzwi w sieni. Stąpając ciężko wszedł Kazimierz. Wracał z młyna. Zziębnięty, przysiadł na pniaku przy ciepłym kominie. Skręcił papierosa, zapalił go od płomyka lampki i spytał Stachę o nieobecnego Antka:

— Pewnie się żegna z koleżkami po wsi i nie skończy przed nocą.

— Gdzie zaś! Od południa sieczkę rżnie w stodole — rzekła Stacha.

— O! — zdziwił się Kazimierz.

— Powiedział, żeby na niego nie czekać z wieczerzą, bo chce narznąć na zapas, byś choć jaki taki czas nie potrzebował się tym zajmować — wyjaśniła matka.

— Hm... — mruknął Kazimierz i rozjaśnił się trochę. Nagle wstał przeszedł do alkierza i otworzywszy z klucza szafę, szukał tam czegoś omackiem w szufladzie. Znalazł widać, bo wrócił pogwizdując wesoło i podszedł do matki, która skończyła układać w wiklinowym koszyczku czystą, ale gęsto połataną bieliznę Antka. Kazimierz bez słowa położył na Antkowej koszuli swoje świąteczne spinki z koralami, co je miał, jako najstarszy, po ojcu.

Już dawno zmyła Stacha talerze po zacierce, gdy we drzwiach stanął Antek zgrzany trochę, uśmiechnięty, z jasną czupryną ździebko oprószoną sieczką.

Kazimierz wskazał mu miejsce koło siebie za stołem.

— Siadaj. Zaraz ci Stacha odgrzeje wieczerzę — rzekł do młodszego brata. — A jutro z rana sam cię odwiozę na kolej. Na piechotę mógłbyś się spóźnić.

* * *

W samą porę przyjechał Antek do szkoły. W zabudowaniach mających pomieścić szkołę wrzało jak w ulu. Trzydziestu młodych ludzi z zapalem porządkowało i urządzało wspólne sypialnie, izbę jadalną, świetlicę.

Szeleściła słoma, którą na gwałt napychano sienniki, stukwały młotki wbijające ostatnie gwoździe do stołów, stołków i półek pod książki.

Nigdzie nie słychać było w tym gwarze młodych głosów słowa „pan“ a i odezwanie „kolego“ coraz częściej zmieniano się na krótkie, przyjacielskie: „ty“.

Antek od razu poczuł się wśród przyjaciół między tymi chłopcami, z których jedni pokończyli szkoły powszechne, inni po parę klas gimnazjum, a jeszcze inni, tak jak on sam, byli samoukami. Wszystkich ich przecież jedna myśl tu zebrała, jedno pragnienie.

Listopadowy dzień trwał pochmurny i chłodny, ale nikt z młodych nie czuł przejmującego chłodu ani zwracał uwagi na zachmurzone niebo — w świeżo wyszorowanej świetlicy pachniała zieleń igliwia, na stołach w jadalni jak kręgi słoneczne jaśniały rumiane bochny chleba, a w sypialniach czysto powleczone pościelania zapraszały do zasłużonego spoczynku przed uroczystym dniem otwarcia.

Antek leżąc już w łóżku po wieczornej pieśni zgadywał, co to będzie jutro, pojutrze i przez te całe sto dwadzieścia dni?...

Wiedział jedno: każdego dnia dowie się wielu nowych dla siebie rzeczy. Nowych, a takich, co czynią, że w ponury listopadowy dzień świat zdaje się być pełen słońca.

I wiedział jeszcze drugie: że czego się dowie tutaj, w tych salach, co tu sam zdobędzie — tym się podzieli ze swoją wsią.

Z tą myślą zasnął.

A nazajutrz było uroczyste otwarcie kursu...

Od tego dnia zaczęła się dla Antka wyłożona praca.

Po kilku tygodniach przyszedł na ręce matki list od Antka. List był zwięzły. Antek pisał, że zdrow jest czego i wszystkim w domu życzę. I zapytywał Kazimierza: „Czy będziesz miał co naprzeciw, bracie, ty, albo matka, czy siostra, że ja po skończeniu kursu dostanę stypendium na wyjazd do miasta, aby się kształcić w ogrodnictwie. Chcę potem wrócić do naszej wsi jako instruktor ogrodniczy. Odpisz“.

Kazimierz po długim, rozważnym namyśle, odpisał: „Kształć się“.

Twój brat Kazimierz Porębski

Stara Wieś. Gmina Łęgi.

Poczta Niegocie

wg E. Zarembiny



PRZYSŁOWIA

*Trzech rzeczy człowiek nigdy nie żałuje:
gdy rano wstaje, gdy milczy i gdy roboty pilnuje.*

*Nie przyniesie pożytku chcenie, ale dobre
czynienie.*

Prawda, choć słona ale zdrowa.

*Prawdą świat przejdziesz, fałszem w ćwierci
utkniesz.*

Nauką wszędy się pożywisz.

*Studnia czerpaniem czystsze, rozum ćwicze-
niem ostrzejsze.*

U nauk korszenie gorzkie, ale owoce słodkie.

*Kto ma w rękę rzemiosło i nie pusto w główce,
obejdzie świat o złotówce.*

Czyn Łukasiewicza

— Jakoś mi się to wszystko nie wydaje! — mruzczał stary pielęgniarz Bazyli, który nie wierzył nikomu poza swoim panem doktorem. — A nie wydaje mi się dlatego — ciągnął dalej — że nie słyszałem jeszcze, żeby aptekarz wymyślił, co mądrego. Więc jakże to ma być? Świecili dotąd ludzie świecami, świecili oliwą w lampach, olejem lnianym i było dobrze, a teraz jakiś farmaceuta¹, pigularz z przeproszeniem, powiada, że to wszystko do niczego, że on jakąś nową lampę wymyśli, co to będzie świecić dziesięć razy jaśniej i to nie oliwą, tylko jakąś kamfina², czy czymś tam i że cały płomień schowany jest w jakimś tam cylindrze niby z kamienia, a przecie całkiem przezroczystym! Różne ja już rzeczy widziałem i operacjom ja już takim się napatrzyłem, że jakby mi kto opowiedział, tobym nigdy wiary nie dał, ale żeby kamień był przezroczysty tom tego jeszcze nie widział i w to nie uwierzę.

— Thy, — wytchnęła starsza siostra Albina — różne są cuda na świecie — i ruszywszy ramionami — przysunęła się bliżej okna.

— Że cuda są, to i ja wiem — odparł Bazyli. — Ale siostrzyczka może nie wiesz, że ten aptekarz Łukasiewicz mówi, że tę kamfina, czy jak on to nazywa, to on podobno z ziemi wydobywa, a potem gotuje to w różnych kotłach, jak czarownik jaki, i dopiero po gotowaniu cedzi, czyści i do owych lamp wlewa.

— Czego to ludzie jeszcze nie wymyślą! — westchnęła siostra Albina, splatając ręce w szerokich rękawach zakonnej sukni. — A kiedyż oni przyjdą? — zapytała po chwili.

— Około ósmej, aż się ściemni, żeby było dobrze widać, jakie te jego lampy światło dają.

— To już niedługo, bo przecie mrok już zapada — rzekła siostra Albina, spojrzawszy w ciemniejące szyby szpitalnego korytarza.

W tej chwili uchyliły się wejściowe drzwi i stanął w nich niepozorny człowieczek. Mimo zapadającego mroku wpadło za nim przez otwarte drzwi tyle światła, że pan Bazyli poznał blacharza.

— Dobry wieczór, panie Bartkowski! A czegoż to pan o tej porze szuka w szpitalu — powitał starego znajomego.

— Przyniosłem te nowe lampy — odparł człowieczek. — Pan? Lampy? Jakie nowe lampy? — wytrzeszczył pan Bazyli swoje i tak bardzo wypukłe oczy.

— Ano te, cośmy je z panem Łukasiewiczem wymyślili. Już od roku dłubiemy, męczymy się z tymi lampami, aż wreszcie wydłubaliśmy. Teraz i palą się jasno i żaden wybuch nie grozi.

— To z takiej lampy i wybuch grozi? — zląkła się siostra Albina. — Cóż to za wynalazek!

Pan Bartkowski, mimo, że nikłego był wzrostu, spojrzął z góry na postawną siostrę Albinę, ruszył lekko ramionami i zwrócił się do pana Bazylego:

— A gdzie te lampy postawić?

— Teraz dopiero spostrzegł Bazyli, że pan Bartkowski trzyma na rękach, niby dwoje dzieci, dwie ciężkie błyszczące kule z grubej blachy, zaopatrzone w niezbyt wysokie cylindry z miki. Pan Bazyli spojrzął krytycznie na dzierżone przez Bartkowskiego blaszane naczynia i skrzywił się:

— To są te lampy?

— Tak.

— Toś pan je sam robił?

— Sam, ale według wskazówek pana Łukasiewicza.

— A wiesz pan, co o nim mówią? — Że on diabła sobie do pomocy przybrał.

— Et, głupstwa gadacie, panie Bazyli! — zirytował się blacharz. — Zadne i pobożne człowieczysko, pracuje całymi dniami w aptece u Mikolascha, nocami zaś siedzi nad tymi swoimi wynalazkami i wszystko swojej własnej głowie zawdzięcza. Diabła sobie przybrał! Też gadanie!

Pan Bartkowski obejrzał się, a nie mając wolnej ręki, zatrzasnął nogą drzwi, których nie zamknął za sobą.

Drzwi jednak odskoczyły z powrotem i w progu stanął wysoki mężczyzna w szerokim kapeluszu.

— A któż to mi tak zatrzaskuje drzwi przed nosem? — Zabrzmiął pod sklepieniem szpitalnej izby męski głos. — Ach, to pan, panie Bartkowski!

Blacharz obejrzał się bardzo zaskoczony, ale spojrzawszy w brodatą twarz wchodzącego odetchnął z ulgą.

— Ach! To pan magister! Chwała Bogu! Alem się zląkł!

— Czego?

— Eh, bo mnie ten Bazyli bajkami straszy.

— Et, zamiast głupstwa opowiadać — machnął ręką magister Łukasiewicz — niech pan Bazyli weźmie jedną lampę od pana Bartkowskiego i niech nas zaprowadzi na największą salę. Tam te lampy ustawimy i poczekamy, aż panowie doktorzy przyjdą.

Bazyli, mimo, że przed chwilą nie miał najmniejszego zaufania do lamp pana Łukasiewicza, wziął posłusznie, acz niechętnie, jedną z nich z rąk Bartkowskiego i ruszył przodem. Siostra Albina otworzyła przed nimi szeroko drzwi, wiodące na schody

i spojrzała przy tym ze strachem na błyszczącą kulę, niesioną ostrożnie przez Bazylego.

...Łukasiewicz i Bartkowski niezbyt oswojeni ze szpitalem kroczyli za nim, stąpając na palcach, i starając się robić jak najmniej hałasu. Bartkowski, który dopiero pierwszy raz w życiu znalazł się w sali chorych, rozglądał się ciekawie. W mroku zapadającego wieczoru widział dwa szeregi łóżek, na których siedzieli lub leżeli chorzy. Łóżka były ustawione głowami ku ścianom, z których tylko jedna miała kilka okien. Zachodzące słońce rzucało czerwone plamy na białą pościel i blade twarze chorych.

— Panie Bazyli — rzekł Łukasiewicz. — każcie zapalić wasze stare kaganki. Jak przyjdą panowie doktorzy, to je pogasimy, a zapalimy moje lampy.

Bazyli skinął głową, postawił lampę Łukasiewicza na stole i wyszedł. Po chwili wrócił z zapalonym woskowym stoczkiem³ w rękę i zapalił dwa oliwne kaganki, zawieszane na ścianach sali. Obydwa te płomyki były ledwie widoczne przy gasnącym świetle dnia.

— A przy takim świetle robi się tu u was operacje? — zapytał magister pielęgniarza.

— Operacje robi się tylko za dnia.

— A jeżeli trzeba chorego operować w nocy?



— To się bardzo rzadko zdarza, zwykle czekamy do rana.

— A jeżeli już koniecznie trzeba? Przecież życie ludzkie zależy nieraz od godziny, od chwili...

— Ach, w takim razie pan doktor kraje chorego przy świecach, ale to bardzo niewygodne.

Łukasiewicz nie pytał już dalej, bo właśnie w tej chwili rozległy się w korytarzu kroki i na progu sali stanęło kilka osób.

— O! Już jest pan dyrektor i panowie doktorzy.

Łukasiewicz skierował się ku drzwiom i witał wchodzących:

— Wybacz mi pan dyrektor, że przyszedłem wcześniej, ale i niecierpliwość mnie pędziła i lampy chciałem ustawić.

Doktorzy otoczyli stół, na którym stały lampy, i przypatrywali im się ciekawie.

— No, niech pan zapala — rzekł chirurg Zaorski, ówczesna sława lwowskiego wydziału medycznego.

— Poczekamy jeszcze chwilę — rzekł dyrektor szpitala — zaraz przyjdzie tu i prezydent miasta. Zaprosiłem go, żeby był świadkiem aktu darowizny, jaką pan Łukasiewicz czyni miejskiemu szpitalowi.

— A co to będzie? — zapytał nagle któryś z chorych, korzystając z ciszy, jaka przez chwilę zapanowała. Nie otrzymał jednak odpowiedzi, bo w progu stanęło kilka osób. Był to prezydent miasta Lwowa i dwóch radnych. Doktorzy spieszyli ku nim, witając ich uniżenie.

— To jest pan magister Łukasiewicz — przedstawił wynalazcę dyrektor szpitala.

— Bardzo mi miło — wyciągnął rękę do Łukasiewicza prezydent. — Wiem od pana dyrektora, że chce pan swój wynalazek ofiarować szpitalowi. Bardzo to pięknie, bardzo... Niechże więc pan pokaże nam te cuda.

— Żadne to cuda, panie prezydencie — skłonił się skromnie Łukasiewicz. — Oto prosty wynik pracy i logicznego wnioskowania. Olej skalny ma tę własność, że przez destylację można z niego uzyskać płyn lekki i czysty. Nazwijmy go naftą. Nafta ta, zamknięta w zbiorniku, z którego lniiany knot wyprowadza ją na zewnątrz, pali się wprost cudownie. Jak panowie widzą, knot jest ujęty w metalowy palnik z maszynką, którą możemy regulować płomień. Proszę, zapalam — sięgnął jedną ręką po płonący stoczek, a drugą zdjął z lampy przezroczysty cylinder z miki⁴. Przytknął płomień stoczka do wy-

stającego z lampy knota i nastawił na maszynkę cylinder. — Zapalcie drugą — zwrócił się do Bartkowskiego, podając mu stoczek. — A pan Bazyli niechaj zgasi kaganek. Teraz poczekamy chwilę, aż się lampy rozświecą — zakończył regulując maszynkami wysokość płomienia.

Lekarze i radni patrzyli ciekawie i z podziwem. Już po chwili światło lamp nabrało siły i oświetliło całą wielką salę. Łukasiewicz rozejrzał się i ujrzał wpatrzony w światło lamp kilkanaście par oczu chorych, leżących, na bielejących pod ścianami łózkach.

— To te lampy to dla nas? — odezwał się w ciszy słabym głosem jeden z nich.

— Tak — odparł krótko Łukasiewicz.

— To nam teraz będzie weselej.

— Tak, będzie wam weselej — zwrócił się do chorych doktor Zaorski — a ja będę mógł zaraz dokonać operacji, z którą musiałbym czekać do rana. Na jak długo starczy oleju w lampach? — zapytał Łukasiewicz.

— Na sześć godzin.

— Brawo! Panie Bazyli, proszę przynieść lampy do sali operacyjnej, a siostra Albina niech zaraz gotuje narzędzia.

— Albina — poprawiła starsza siostra chirurga, który stale przekręcał żartobliwie jej zakonne imię.

— Zawsze się kłócimy o to jedno „B” — uśmiechnął się szeroko chirurg do stojących przy stole panów.

— Pan doktor w gorącej wodzie kąpany — rzekł gładząc brodę prezydent miasta.

— Ach, bo też szczęśliwie się składa — objaśnił doktor Zaorski. — Mam pacjenta, którego trzeba jak najszybciej operować, bo jutro może być za późno.

— Zanim jednak zabierze się pan do operacji, musimy podziękować panu magistrowi Łukasiewiczowi za jego ofiarę. Nie będę tu podnosił, że jego czyn jest czynem prawdziwie obywatelskim. Wystarczy dla niego, dla tu obecnych panów i dla przyszłych pokoleń to, cośmy usłyszeli z ust jednego z chorych. Powiedział: To nam teraz będzie weselej. — Tak będzie im jaśniej, a więc weselej. Jeśli zaś idzie o doniosłość wynalazku, to niechże oceną będzie znowu fakt: pan doktor Zaorski dokona natychmiast przy tym nowym świetle operacji, której nie mógłby wykonać wcześniej, aż rano. A wtedy mogłoby

być za późno. Bardzo więc być może, że życie chorego ratuje w tej chwili światło lampy Łukasiewicza. Niechaj więc te dwa fakty będą dlań podzięką i za pracę, jaką w swój wynalazek włożył, i za złożenie tego wynalazku społeczności w ofierze. Podajże mi rękę, panie magistrze, i przyjmij od starego prezydenta życzenia dalszej, owocnej pracy.

Łukasiewicz ujął wyciągniętą ku sobie dłoń i bardzo wzruszony, nie zdobył się na żadną odpowiedź.

Pan Bazyli pozapalał wiszące na ścianach kaganki, a kiedy lekarze i radni miejscy wyszli, zabrał z siostrą Albina lampy Łukasiewicza i przeniósł do sali operacyjnej.

— A mówiłeś pan, panie Bazyli — rzekła siostra Albina zabierając się do gotowania chirurgicznych narzędzi — że to diabelski wynalazek, te lampy tego aptekarza. A tu tymczasem i prezydent i pański doktor chwają sobie te lampy i temu aptekarzowi dziękują.

Bazyli ruszył niechętnie ramionami:

— A przecież sama siostra mówiła, żeś jeszcze nie słyszała, żeby się paliło, co człowiek z ziemi wydobędzie, niby tę wodę.

— Ehe, ale teraz, kiedym to ujrzała, to już wierzę. A pan Bazyli mówił, że jeszcze nie słyszał, żeby kamień był przezroczysty, jak szkło i żeby kiedy jaki aptekarz coś mądrego wymyślił.

— Tha, — westchnął pielęgniarz — teraz widzę, że i między aptekarzami taki się znajdzie!

W tej chwili stanął w drzwiach odziany w biały fartuch doktor Zaorski.

— No, jak tam? Wszystko gotowe?

— Jeszcze chwilę, panie doktorze. Dopiero niedawno włożyłam narzędzia do wody. Zaraz się zagotuje.

W pół godziny później odbyła się pierwsza operacja nocna przy jasnym świetle lamp Ignacego Łukasiewicza. Było to w dniu 31 lipca 1853 roku. Chorego uratowano. Nazywał się Władysław Cholecki. — Dobry wynalazek te lampy — rzekł po operacji starszy pielęgniarz pan Bazyli do starszej siostry, Albiny.

Jerzy Kossowski

¹ Aptekarz; ² nazwa dawana gdzieś gdzieś nafcie; ³ cienka, długa świeczka woskowa zwinięta w kółko; ⁴ mineral dający się łupać w cieniutkie blaszki, używany zamiast szkła.

Redaktor: dr Feliks Burdecki.

Adres Redakcji: Kraków Poststr. 1. Redakcja „Steru”.

Adres Administracji (tu należy pisać w sprawach prenumeraty): Kraków, Uniwersytetstr. 19 a. Administracja „Steru”, tel. 104-04.

Jeden nr „Steru” kosztuje 25 groszy. Zamawiać można tylko przez nauczyciela szkoły.

Wydawca: Hauptabteilung Wissenschaft u. Unterricht in der Regierung des Generalgouvernements. Krakau.

Wydział Główny Wiedzy i Nauki w Rządzie Generalnego Gubernatorstwa. Kraków.